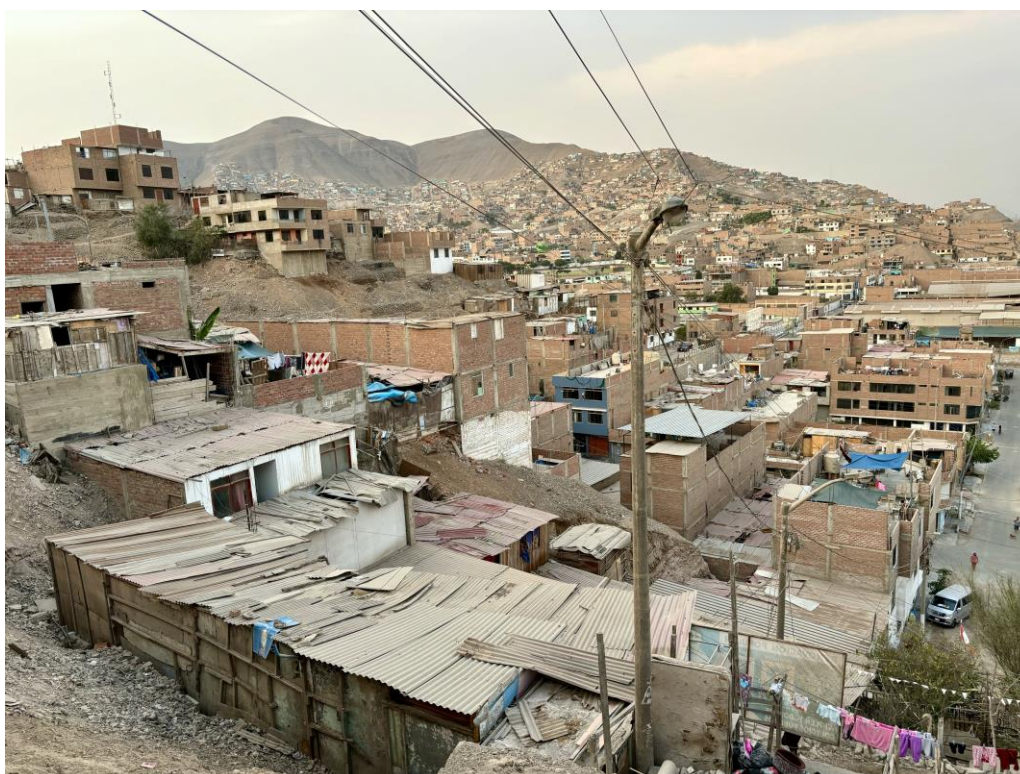


Dom Św. Marcina de Porres
Karolina Kruk , PERU
Luty 2024

List 1

Kochana Rodzino, Przyjaciele, Darczyńcy!

Minęły dwa miesiące, odkąd jestem w Peru i nie sposób opisać, ile w tym czasie się wydarzyło! To nie jest mój pierwszy raz w tym kraju, odwiedziłam go prawie 7 lat temu w czysto turystycznym celu. Pamiętam, że w Peru urzekło mnie wszystko, zaczynając od krajobrazów, które są tak różnorodne, poprzez kulturę, do której przywiązuje się ogromną wagę, kończąc na jedzeniu, które jest przepyszne! Dlatego zawsze chciałam tu wrócić, nigdy jednak nie myślałam, że będę tutaj mieszkać i poznawać ten kraj od innej, zupełnie nieturystycznej strony. A zatem...



Widok na La Ensenadę

Gdzie mieszkam?

Nasz Dom im. św. Marcina de Porres znajduje się w dzielnicy La Ensenada, położonej na północnych przedmieściach Limy. La Ensenadę zamieszkują ludzie, którzy przybywali do stolicy z prowincji i z terenów górskich, głównie w wyniku przymusowego przesiedlenia, ale także w poszukiwaniu lepszego życia i pracy. Ponieważ moja dzielnica położona jest na pustynnych zboczach gór, krajobraz jest nieco monotony, wszystko pokryte jest delikatną warstwą pyłu, brakuje roślinności. W związku z tym, że teren, na którym obecnie znajduje się Lima (wraz ze swoimi peryferiami), był kiedyś niczym innym jak pustynią, wodę do miasta sprowadza się z terenów górskich i gromadzi w ogromnych zbiornikach wodnych, którymi usiane jest całe miasto. Woda w La Ensenadzie zatem jest dostępna tylko do godziny 18, a następnie ponownie nad ranem. Oczywiście nie muszę dodawać, że woda jest zimna i o ile w lecie jest to przyjemna ochłoda, to w zimie nie jest już tak kolorowo. Domy w La Ensenadzie ciągną się w nieskończoność i, mimo że ich konstrukcja

pozostawia wiele do życzenia, to co roku powstają nowe, w coraz wyższych partiach wzgórz. Im wyżej położony dom, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ma dostęp do bieżącej wody i do prądu. O ile z prądem można jeszcze coś „pokombinować”, o tyle z wodą już nie za bardzo. Znamy rodziny, które wodę biorą od sąsiadów, przynosząc ją do swoich domów w wiadrach. Jednak nie wszyscy mają szczęście posiadania życzliwych sąsiadów, toteż często spotykamy mniej zadbane osoby, w tym dzieci.

Któregoś dnia poszliśmy odwiedzić rodzinę, która mieszka wysoko na wzgórzu, w domu zbitym z dykty. Akurat tak się złożyło, że pora naszej wizyty nałożyła się na porę przynoszenia przez dzieci wody w kubkach od sąsiadów, którzy mieszkają niżej. Najstarszy z rodzeństwa – José Luis (14 lat) początkowo nie chciał naszej pomocy, było mu zwyczajnie wstyd. Po krótkich żarcikach i prezentacji moich ogromnych bicepsów, poszłam z nim. Ci z Was, którzy mnie znają, wiedzą, że bardzo lubię góry, a zwłaszcza strome podejścia. Jednak wspinaczka prawie że w pionie, po osypującym się pod stopami zboczcu góry, w upale, z dwoma wiadrami wody, była nie lada wyzwaniem. Naprawdę szło się bardzo ciężko. Mimo że dystans nie był duży, to wielokrotnie musieliśmy się zatrzymać. Cała ta sytuacja łamała mi serce. Bolało mnie, że dzieci muszą dźwigać ciężkie wiadra z wodą. Bolało mnie, że są jakby obdarte z dzieciństwa i postawione w stan dorosłości bez możliwości wyboru. Bolała mnie rzeczywistość, z jaką się tutaj spotykam, a z którą nie miałam wcześniej aż tyle do czynienia.

Z kim mieszkam?

Dom dzielę z czterema dziewczynami, z którymi tworzymy Wspólnotę. Tak więc mieszkam z Katią z Salwadoru, z Marie-Sophie z Austrii i z Marie-Cristine, ze Szwajcarii. Wszystkie trzy mają po 19 lat, więc śmiejemy się, że ja ze swoimi 33 latami jestem niczym ich babcią. Dziewczyny poznałam na miejscu, żadna z nas nie znała się wcześniej, więc, jak się łatwo domyślić, trzeba się trochę wysilić, aby stworzyć Dom, w którym każda będzie czuła się dobrze. Potrzeba do tego od każdej z nas dużo pokory, cierpliwości, wyrozumiałości i otwartości. Codziennie uczymy się życia razem.



Moja Wspólnota, od lewej: Marie-Sophie, ja, Katia, Marie-Cristine

Wraz z dziewczynami odpowiadamy za cały dom, płacimy rachunki, sprzątamy, robimy zakupy, gotujemy, gdy coś się zepsuje – naprawiamy lub szukamy pomocy z zewnątrz. Człowiek odkrywa nagle, że potrafi samodzielnie odetkać zlew, przykręcić karnisz albo odkręcić rynnę od muru. Myślę, że po powrocie z misji poszukam pracy jako „złota rączka” :).

Jak wygląda nasz dzień?

Dzień rozpoczynamy Mszą Świętą połączoną z jutrznią, która celebrowana jest w parafialnym kościele oddalonym od naszego domu o około 6 minut. Po Mszy wracamy do domu i czytamy lekturę duchową, której fragmenty wspólnie interpretujemy raz w tygodniu. W tej chwili czytamy teksty odnoszące się do Wielkiego Postu. Po lekturze jemy śniadanie i mamy czas na przeróżne rzeczy, które trzeba wykonać, a które zaplanowałyśmy wcześniej. Czasem trzeba posprzątać, czasem namalować kartkę urodzinową, czasem przygotować zabawy dla dzieci, czasem upiec dla kogoś ciasto, czasem coś naprawić, czasem gdzieś pójść i coś załatwić. Ale przede wszystkim, każda z nas codziennie przez godzinę adoruje Najświętszy Sakrament. W naszym domu znajduje się kaplica, w której czasem też odprawiana jest Msza Święta. Niesamowite jest posiadać Najświętszy Sakrament we własnym domu.

Przez cały ten czas nasz dom otwarty jest dla Przyjaciół, którzy odwiedzają nas czasem, aby zapytać, co słyhać, czasem, aby wypić szklankę wody, czasem, aby porozmawiać dłużej, a czasem, żeby przybić piątkę.

Następnie jemy obiad i odmawiamy Różaniec. Później dzielimy się po dwie i idziemy odwiedzać naszych Przyjaciół z dzielnicy. Przyjaciółmi nazywamy wszystkie osoby, z którymi nawiązaliśmy relacje i które potrzebują naszego wsparcia. Czasem są to przyjaźnie nawiązane 32 lata temu przez pierwszych wolontariuszy, a czasem są to zupełnie nowe znajomości, rozpoczęte przez nas. Trzeba więc być ciągle uważnym na spotykane osoby, na ich potrzeby, patrzeć na nie sercem i w każdym dostrzegać cząstkę naszego Boga, który żyje przecież w każdym z nas.

Naszymi przyjaciółmi są głównie osoby starsze, cierpiące, samotne, chore, często zapomniane przez świat i jedynym światem dla nich są nasze wizyty. Wśród Przyjaciół są także dzieci, które czasem odwiedzamy, z którymi bawimy się na ulicy, albo które przychodzą do naszego domu. Rodzice dzieci często pracują całymi dniami i są one zostawione same sobie, zwłaszcza teraz, kiedy jest czas wakacji.

Na czym polegają nasze wizyty?

Każdego dnia odwiedzamy ludzi, czasem wchodzimy do ich domów, czasem siadamy na schodach przed, a czasem na krawężniku, i rozmawiamy. Rozmawiamy o ich życiu, o trudach, cierpieniach, radościach. Często słuchamy historii ich dzieciństwa, słuchamy o rodzicach, którzy ich opuścili, o przemocy, która miała lub nadal ma miejsce w zaciszu domowym. Niejednokrotnie są to historie bardzo trudne, w które ciężko uwierzyć. Ludzie żyjący w samotności pragną być wysłuchani, potrzebują wypowiedzieć na głos to, co najbardziej ich dotyka,



a co często chowają na dnie swojego serca. Aby otworzyć się na takie rozmowy, potrzebny jest czas i zaufanie. I dlatego staramy się krok po kroku budować to zaufanie poprzez cierpliwe wysłuchanie, poprzez modlitwę, poprzez okazanie współczucia i pocieszenie, gdy naprawdę jest ciężko. Wydawać by się mogło, że aby zmienić czyjeś życie lub perspektywę, z jaką ktoś na nie patrzy, potrzeba wielkich akcji i czynów, tymczasem największe zmiany zaczynają się od drobnych rzeczy, od pojedynczych słów, od małych gestów, od detali, na które na co dzień nikt nie zwraca uwagi. Od zatrzymania się, gdy wszyscy mijają, od przytulenia, gdy wszyscy

podają rękę, od zapamiętania imienia i pozdrowienia na ulicy, od drobnego komplementu, który wywołuje największy możliwie uśmiech.

Bo człowiek nie umiera wtedy, kiedy przestaje mu bić serce. Umiera, gdy przestaje czuć się ważny. I tak oto nasza czwórka stara się każdego dnia, aby każda napotkana osoba czuła się ważna. Bo jesteśmy tu, aby kochać.

Apostolat

Oprócz codziennych wizyt w naszej dzielnicy, w każdy wtorek mamy apostolat (odwiedzamy miejsca, do których jesteśmy posłane przez Dom Serca). W jednym tygodniu odwiedzamy Narodowy Instytut Zdrowia Dziecka w Limie, największy i najlepszy szpital dziecięcy w Peru, do którego przyjeżdżają dzieci z całego kraju, a w kolejnym tygodniu Dom dla Kobiet, w którym schronienie znajdują kobiety z przeróżnymi problemami, jedne pochodzą z przemocowych domów, inne były wykorzystywane seksualnie, jeszcze inne mieszkały na ulicy, a niektóre to mamy z małymi dziećmi, które nie miały się gdzie podziać. Wiele z tych kobiet boryka się z różnymi niepełnosprawnościami. W każdym z miejsc, które odwiedzamy, dostajemy dawkę miłości i wdzięczności. Jednak *Casa Bakhita* (tak nazywa się Dom dla kobiet) jest pod tym względem wyjątkowa. Dziewczyny są tak szczęśliwe, że je odwiedzamy, że biegną z krzykiem do drzwi, aby nas przywitać, przepychają się między sobą, aby nas przytulić, złapać za rękę. A na końcu nie chcą nas wypuścić. Wzrusza mnie to do głębi i zarazem onieśmiela. Ta ich miłość i radość. Taka czysta. Taka bezinteresowna. I pomimo tego wszystkiego, przez co przeszły, ta miłość ciągle w nich jest i ciągle chcą się nią dzielić. Jest to dla mnie niezwykle, że ktoś, dla kogo jestem zupełnie obca, siada koło mnie, łapie mnie za rękę, kładzie głowę na moim ramieniu, i tak sobie siedzimy bez słów, ale ileż słów jest ukrytych w tych gestach! Jak bardzo złaknione bliskości i uwagi są te kobiety, że tak cenią naszą prostą obecność? I czy my od tych kobiet możemy nauczyć się tej czystej miłości?



Señora Pilar, która mieszka w Casa Bakhita

Kochani, kończę ten mój pierwszy list, ale wyczekujcie kolejnego! Dziękuję Wam wszystkim za wsparcie, które od Was otrzymałam, to dzięki Wam mogę tu być i służyć innym. Pamiętam o Was w codziennej modlitwie i jako podsumowanie zostawiam Wam ten cytat z A. Lenczewskiej:

„Kochać Chrystusa trzeba w ludziach, bo On tam jest spragniony miłości. Nie w abstrakcyjnych wyobrażeniach, lecz w konkretnych osobach, które znam i spotykam, zwłaszcza w tych, w których brak miłości.”

Ściskam i do napisania!

Karolina



Przekaż swoje **1,5%**
to tak niewiele, a tyle może zmienić

Domy Serca
KRS: 0000433841